

Cyngle, krety, kamuflaże, represje

O tym, jaką rolę w „Gazecie Wyborczej” pełnią tzw. „cyngle dziennikarskie”, mówił parę lat temu w wywiadzie dla „Dziennika” skruszony redaktor „Wyborczej” Michał Cichy. Skruszony, bo przepraszaający za swój artykuł z 1994 roku pt. „Polacy – Żydzi: czarne karty powstania”, w którym pisał o mordach dokonanych na Żydach przez żołnierzy AK i NSZ podczas Powstania Warszawskiego. Od czasu wyplucia go przez gazetę Michnika o Cichym zapanowała kompletna cisza, ale jego określenie „cyngle dziennikarskie” na dobre przyłgnęło do jego byłego środowiska. Cyngle mają za zadanie odstrzelić tych, których nie lubi Michnik. Cyngle pociągają za spust, gdy szef pokryje muszkę ze szczerbinką. Cyngle bezbłędnie wyczuwają, kiedy to ma miejsce i kto jest celem, wtedy odpalają swoje artykuły.

Ponieważ coraz więcej ludzi nie chce rozmawiać z tą gazetą, cyngle muszą stosować kamuflaż. Nowy cyngel „Wyborczej”, Marcin Wójcik, próbował „odstrzelić” poseł PiS prof. Krystynę Pawłowicz. Podał się za dziennikarza „Gościa Niedzielnego”, w którym pracował tuż przed czy tuż po transferze do „Wyborczej”. Tak uwiarygodniony nazbierał tyle jej wypowiedzi, że mógł już dowolnie manipulować tekstem w celu skompromitowania pani poseł. Oświadczenie redakcji „Gościa Niedzielnego” mówi o „głęboko nieetycznym” postępowaniu Wójcika. Oświadczenie prof. Krystyny Pawłowicz ujawnia, że wulgarny i prymitywny tekst Wójcika miał na celu ośmieszenie

jej osoby i odebranie jej wiarygodności w oczach wyborców. A swoją drogą ilu jeszcze „kretów” kryje się katolickich redakcjach. Wójcik przepracował 8 lat w katolickim „Gościu Niedzielnym” i „raptem” odnalazł pokrewną duszę u Michnika, w środowisku cyngli?

Kamuflaż dziennikarski to także coraz częstsze podszywanie się pod mikrofony z identyfikatorami innych stacji. Na jednym z marszów w obronie TV Trwam nawet wraży wóz transmisyjny został oblepiony logo tej stacji. Dziennikarstwo mętneho nurtu sięga więc po typowe metody pracy służb specjalnych, a reporterami stają się zwykle męty niemające nic wspólnego z dziennikarstwem, a tym bardziej etyką zawodu. Stąd najwłaściwsze skojarzenie cofa nas do stanu wojennego, gdy czołowymi dziennikarzami byli agenci komunistycznych służb i zawodowi oficerowie SB.

Takie też miałem refleksje, słuchając w TVN wywiadu redaktora Kamila Durczoka z prezydentem Bronisławem Komorowskim. Czy nagła zapowiedź zmian w prokuraturze wyszła od władzy, mediów a może była wspólna? Raptem i równocześnie, „niezależna” prokuratura przestała się podobać rządowi i prezydentowi o czym szybko zakomunikowali w zaprzyjaźnionych mediach. Ma zmienić się „system”, „model”, „ustrój” prokuratury, zapewnia prezydent. I dodaje, że nie chodzi tu „sprawy personalne”. Te zapewnienia oczywiście nijak się mają do rządowo-prezydenckich enuncjacji o istnieniu w prokuraturze układu sympatyzującego z ministrem Zbigniewem Ziobro z czasów rządu

premiera Jarosława Kaczyńskiego. Zasygnalizowane w ten sposób „polowanie” w prokuraturze na „Ziobrystów” albo jest potwierdzeniem pewnego stopnia niezależności prokuratury od rządu, tym samym samodzielności prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, albo świadczy o niezwykle pilnej potrzebie zajęcia przez prokuraturę jakiegoś ważnego stanowiska w niezwykle istotnej sprawie. Zresztą jedno nie przeczy drugiemu.

Kiedy prezydent Bronisław Komorowski kilkakrotnie zapewniał, że „nie chodzi o zmiany personalne” albo gdy zapowiadał „odejście od modelu prokuratury z lat 50.”, to znaczy, że najprawdopodobniej mamy tu do czynienia także z kamuflażem. W końcu nowe usytuowanie prokuratury – poprzez oddzielenie jej od struktur rządu – wprowadziła Platforma Obywatelska z tym samym Bronisławem Komorowskim. Zmiany weszły w życie na miesiąc przed katastrofą smoleńską i wówczas nikt nie podnosił zarzutu stalinowskiego charakteru prokuratury.

A o co walczył w tej rozmowie redaktor z TVN? O to samo, o co w stanie wojennym podobni mu redaktorzy zaniepokojeni nadużywaniem wolności przez obywateli, brakiem szacunku dla zasłużonej (wówczas komunistycznej) władzy. Wielokrotnie, wręcz natrętnie, nawiązywał do wydarzenia na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie narodowcy wygwizdali stalinowca Zygmunta Baumana. W którym momencie zaczyna się przemoc, czy to już jest dzwonek alarmowy, czy nie trzeba już reagować ostrzej, dopytywał prezydenta nad wyraz zaniepokojony redaktor Durczok.

A ten jak dobry ojczulek uspokajał redaktora, że to głównie sprawa autonomii uczelni, a nie państwa. Rozmowa „dobrego prezydenta” z „nagrzany dziennikarzem”, domagającym się zaostżenia kar dla obywateli korzystających ze swoich praw, to był taki dialog dwóch funkcjonariuszy, dobrego i złego, obrazek żywcem wyjęty z czasów stalinowskich.

Wojciech Reszczyński

358Nasza Polska 16.07.13